



18

„GLOB”

SPÓŁDZIELNIA PRACY

665

04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53  
tel. 13 42 34 tel./fax 13 44 95

WIEŻ

00-950 WARSZAWA

ul. Kopernika 34

5

- 05 - 97

Nr ..... z dn. ....

Wirus naszych czasów

polega na tym, że pozwoliła, aby Jan zajął miejsce Boga i przemówił Jego głosem. To jemu w rzeczywistości Bess złożyła ofiarę, a nie Bogu.

Katarzyna Jabłońska

„Przełamując fale”, „Breaking the waves”  
reżyseria: Lars von Trier, scenariusz:  
Lars von Trier i Peter Asmussen, zdjęcia:  
Robby Muller, efekty specjalne: Jan Wei-  
neke, muzyka (aranżacja): Joachim Hol-  
bek, scenografia: Karl Juliusson, kostiu-  
my: Manon Rasmussen, montaż: Anders  
Refn, wykonawcy: Emily Watson (Bess),  
Stellan Skarsgård (Jan), Katrin Cartlidge  
(Dodo), Jean-Marc Barr (Terry), Adrian  
Rawlins (Doktor Richardson), Sandra  
Voe (matka Bess) i inni, Dania/Szwecja/  
Norwegia/Holandia/Francja, 1996 r., dys-  
trybucja: GUTEK FILM

## Wirus 665 naszych czasów

Nie od dziś wiadomo, że teatr polski potrzebuje dopływu nowej krwi reżyserskiej i aktorskiej. „Bzik tropikalny”, będący jednym z najciekawszych przedstawień, jakie można teraz oglądać w Warszawie, zaliczany także do najlepszych premier tego sezonu, wydaje się jej dostarczać. Jest to bowiem debiut reżyserski Grzegorza Horsta. Dodatkowo w głównych rolach występują świeżo upieczeni absolwenci szkół teatralnych z Warszawy i Krakowa.

Spektakl jest kompilacją dwóch sztuk Witkacego: „Mister Price’a, czyli Bzika Tropikalnego” i „Nowego Wyzwolenia”. Akcja pierwszej z nich dzieje się właśnie w tropikach, gdzie ściągają zblazowani Europejczycy w poszukiwaniu mocnych wrażeń.

Właśnie tropiki oferują im nie znane do tej pory doznania erotyczne i narkotyczne. Urzeczeni egzotyczną aurą padają ofiarą owego bzika tropikalnego, o którym Witkacy pisze, że faktycznie jest *groźną chorobą nerwów w tropikach, powstającą pod wpływem szalonej temperatury, o jakiej żaden upał ukraiński bladego pojęcia dać nie może, następnie pod wpływem pieprznych potraw, alkoholu i ciągłego widoku nagich kobiecych ciał.*

Na Rangoon spotykamy państwa Goldersów. Ryszard robi jakieś podejrzanе interesy, zbijając na nich fortunę. Natomiast jego żona Ellinor — jak podkreśla Witkacy — „piekielnie ponętna” kobieta, i na dodatek czystej krwi arystokratka, spędza czas na wymyślaniu co raz to nowych perwersyjnych rozrywek. Napotykamy tu również polsko-angielskie małżeństwo Brzechajłów z synem Jack’iem. Ojciec rodziny jest właścicielem wielkiej firmy handlowej w Singapurze; zajmuje się więc pomnażaniem kapitału. W tym miejscu przebywa także tytułowy Mister Price, który od pierwszego wejrzenia zakochuje się w Ellinor. Na pozór jest to para stworzona dla siebie, bo oboje pragną doświadczyć „dziwności istnienia”. Ale z tą różnicą, że dla Pani Golders jest to jeszcze jedno, nowe doświadczenie zdolne tylko na jakiś czas zabić nudę. Tymczasem dla Price’a tropiki i ich dobrodziejstwa wydają się ratunkiem, są być może ostatnią szansą na wzbudzenie „dreszczyka metafizycznego” pozwalającego zachować uczucia wyższe.

Ellinor wpisuje się w poczet Witkacowskich „demonicznych kobiet”. Na końcu zabija Price’a, bo takie ma upodobania. Wcześniej prawdopodobnie niejednego nieszczęśnika osobiście



pozbawiła życia lub w najlepszym razie przywiodła do samobójstwa. Ponadto dowiadujemy się, że bohater był też zabawką w rękach jej męża, który perfidnie wykorzystał jego umiejętności nie dając mu nic w zamian. A kiedy już był mu zbyt cenny oddał go żonie, która dokończyła dzieła. Sydney pada więc ofiarą pary wykończonych, z których jedno żadne jest krwi, drugie zaś pieniędzy. Jak łatwo się domyślić, Price nie jest ostatni na liście tego idealnie uzupełniającego się, wprost stworzonego dla siebie potwornego duetu. Jego miejsce zajmuje Jack Brzechajło, który — jak można przewidzieć — skończy podobnie. Jaki z tego morał? Ano taki, że dla żadnego z nich, ani dla Price'a, ani dla młodego Brzechajły, nie ma miejsca w bezwzględny świat biznesu. Obaj są zbyt wrażliwi i zbyt naiwni.

W przedstawieniu Horsta przenikają się różne konwencje. Błyskotliwie uknuta i dlatego angażująca intryga jest jak z powieści lub filmu sensacyjnego. Reżyser wyciął niektóre partie tekstu tak, żeby nieprzerwanie trzymać widza w napięciu i niepewności. Ani przez chwilę nie spodziewamy się więc, że Ellinor zadzga Sydneya szpilką od kapelusza i dopiero w finale dowiadujemy się, jakie są jej pobudki. Tym sposobem Horst uzyskuje efekt jak w trillerze erotycznym. Wspominałam, że w spektaklu reżyser wykorzystał też inną sztuczkę Witkacego „Nowe Wyzwolenie”. Sceny z tej jednoaktówki są projekcjami wizji narkotycznych Jack'a Brzechajły, który spędza głównie czas w palarniach opium, przechodząc kolejne stopnie wtajemniczenia. Jego wizje są rodem jak z powieści grozy lub horroru. Na dodatek najbardziej upierne postaci

z tego dramatu przemykają się czasem w mieszkaniu Goldersów, wydając z siebie złowieszczy rechot.

Horst wszystkie te konwencje traktuje z przymrużeniem oka, co jest zgodne z intencją Witkacego. Bo tak jak kpi on tutaj z literatury dla kucharzy, rozpowszechnionej w jego czasach, tak też Horst szydzi z dzisiejszej literatury popularnej, z kryminałów i kiczowatych romansów z serii Harlequina oraz komercyjnych filmów. Do najlepszych scen należy na przykład parodia typowego mordobicia, wywołująca salwy śmiechu na widowni. Podczas bójk o Ellinor, Price i Golders prężą mięśnie, demonstrując swoje warunki fizyczne, jak na pokazie kulturystyki. A już po chwili okładają się pięściami. Ale, że dzieje się to w zwolnionym tempie, więc odbiera to pojedynkowi powagę. Przykłady można mnożyć. Sprawia to, że przedstawienie aż kipi purenonsensowym humorem.

Horst wykazał się także dużą umiejętnością pracy z aktorami, co nieczęsto zdarza się u młodych reżyserów. Grają oni z dyskretnym dystansem do ról, z pewną dozą ironii, lekko drwiąc ze swoich postaci. Adam Nawojczyk jako Jack Brzechajło jest prowincjonalnym młodzieńcem zaślepionym tropikami, który — ku rozpaczy rodziców — narkotyzuje się lub uganiania za spódniczkami. Z kolei Maja Ostaszewska w roli Ellinor to typowa *femme fatale*, kobieta modliszka, wprowadzająca każdego, kogo się da. Natomiast Cezary Kosiński, grający Mister Price'a, przyjmuje typowe pozy dla nienasyconego, namiętnego amanta.

Horst sprawnie przykroił i połączył dwa nie najwyższych lotów dramaty Witkacego tworząc nową jakość. Jego spektakl dowodzi, że w teatrze można



podnieść na wyższy poziom artystyczny nie najlepszej klasy literaturę. Co więcej udało mu się opowiedzieć historię bardzo dzisiejszą. W jego spektaklu, jak w krzywym zwierciadle, odbija się bowiem współczesny świat, w którym — jakby powiedział Witkacy — następuje stopniowy zanik uczuć metafizycznych. Z kolei reżyser w komentarzu do przedstawienia zaznacza, że *bzik to niebezpieczny dla życia wirus, który przenika wszystkie struktury naszej codzienności, i powoli, lecz skutecznie zaczyna drzążyć nas od środka*.

I jeszcze słowo o publiczności. Zauważyłam, że między sceną a widownią, składającą się głównie z młodych ludzi, panowało idealne porozumienie. Horst znalazł sposób, żeby przemówić do ich wrażliwości. Młodzież reagowała entuzjastycznie, odnajdując tu swoje „klimaty”. Mam wrażenie, że jest to dla nich coś na kształt przedstawienia kultowego. „Bzik tropikalny” w warszawskich Rozmaitościach to rzadki przykład spektaklu uznanego przez krytyków przy wypełnionej po brzegi widowni.

**Malwina Głowacka**

**Teatr Rozmaitości w Warszawie: „Bzik tropikalny” według Stanisława Ignacego Witkiewicza. Opracowanie tekstu i reżyseria: Grzegorz Horst d'Albertis, scenografia: Barbara Hanicka, muzyka: Bolesław Rawski. Premiera 18 I 1997.**

## Montparnasse z Polską w tle

Ideąłem było mieć pracownię w Paryżu na stałe lub przynajmniej

na dłuższy czas — jak Boznańska, Pankiewicz, Gwoźdecki czy Leopold Gottlieb, a w Polsce wystawiać i spędzać długie wakacje. W salonach światowej stolicy sztuki weryfikować dokonania — tu, wśród przyjaciół, syćć głody, którym obczyzna, choćby tak swojska jak paryska, sprostać nie mogła. Od 1831 roku Polacy ciągnęli do Paryża za wolnością myśli, życia, sztuki, aby śnić o ojczyźnie. Od początku XX wieku zaczęli przyjeżdżać ci, co pragnęli spełniać swój talent w pełnej autonomii dla dzieła i dla twórcy. Stara emigracja gnieździła się na prawym brzegu Sekwany — na Wyspie św. Ludwika i w dzielnicy les Batignolles, miała własne pismo i Towarzystwo Artystyczno-Literackie, urządziła wieczory w Café de la Régence, spotykała się na nabożeństwach w rocznice narodowych świąt, zawsze w poniedziałki w domu syna Adama Mickiewicza, Władysława. Nowi przybysze utworzyli kolonię polską na lewym brzegu w okolicy bulwaru Montparnasse. Nie używali słowa emigracja, bo nie czuli się wygnancami, nie zrywali kontaktu z krajem; wprowadziła ich nowoczesna sztuka z przełomu wieków, chcieli znajdować do niej własny klucz. W 1912 roku przebywało w Paryżu trzystu artystów i studentów z Polski. Od 1911 roku istniało Towarzystwo Artystów Polskich pod przewodnictwem Stefana Żeromskiego. W dwutysięcznej kolonii żyli swoimi sprawami we własnej kulturze pisarze i poeci, malarze i rzeźbiarze, architekci, politycy, przemysłowcy, kupcy, studiująca młodzież. Różnili się postawami estetycznymi, poglądami na świat, opcjami politycznymi wynikającymi z rodzimego gruntu, nieczytelnymi dla postronnych.